

DZIEŃNIK BAŁTYCKI

REJSY

Rok XXX, nr 94 (9252)

Gdańsk, niedziela 21 i poniedziałek 22 kwietnia 1974 r.

Cena 1 zł

Delegacja pracowników przemysłu lekkiego u Edwarda Gierka

20 bm. I sekretarz KC PZPR — Edward Gierk przyjął delegację pracowników przemysłu lekkiego z okazji ich zawodowego święta: Dnia Pracownika Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórnego.

W spotkaniu wzięli udział: członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — Jan Szydło, wiceprezes Rady Ministrów — Kazimierz Olszewski oraz kierownik Wydziału Ekonomicznego KC PZPR — Zbigniew Madej.

Problemy związane z realizacją szeroko zakrojonych procesów rozbudowy i unowocześnienia wszystkich podstawowych branż resortu przedstawił min. Tadeusz Kunicki. Zamiłował on I sekretarza KC PZPR, że zadania obecnego planu 5-letniego przemysłu lekkiego wykonano w pełni — nawet w niektórych dziedzinach z nadwyżką — już w tym roku.

Edward Gierk przekazał na ręce delegacji podziękowania dla pracowników całego przemysłu lekkiego za ich dotychczasowy trud oraz najlepsze życzenia dla nich i dla ich rodzin.

(PAP)



Fot. Danuta Kostrzeńska

Woliz Wody z Mas' el Qedida

MARTWY, szary piasek pustyni rozwiewany przez wiatr tworzy na drodze zaspę, które z trudem pokonuje nasz terenowy wóz. Po lewej rozbity czołg izraelski. Potem jest ich coraz więcej. Pojawiają się pola minowe, podchodzące niemal pod samą drogę. Kierowcy nie wolno ani na centymetr zjechać z szosy. Taki jest rozkaz płk. Jarosza. Wprawdzie rejon, w którym poruszają się nasze wozy jadące w głąb Synaju są oczyszczone i sprawdzone przez saperów, ale „strzeżonego pan Bóg strzeże”. Nie wolno ryzykować.

Podjeżdżamy pod dwa budynki z falistej blachy postawione tu przez wycofujących się Izraelczyków. Obok stoją rząd zielonych namiotów, przed którymi widać czarnoskórych synów Senegalu. Jeden z nich — obnażony do pasa — pluska się w wodzie, która leje się strugą z cysterny na podwoziu polskiego „Stara-660”. Dobrze, że

tego nie widzą dowódcy naszych plutonów zaopatrzani w wodę ppor. Wiesław Stebelski i ppor. Wacław Grabowski. Chyba by ich krew zalała na takie marnotrawstwo.

Ale nie ma ich tutaj i „czarna kolega”, jak mówią o sobie afrykańscy żołnierze w kontaktach z Polakami, rozkoszuje się jeszcze chwilę białym złotem, którego prawdziwą wartość można docenić naprawdę dopiero tutaj, na pustyni.

CZY JEST WODA DLA TEGO KRAJU

można zobaczyć zaraz za Kairem, gdy się jedzie w kierunku na Ismailię. Powstaje tu duże osiedle mieszkalnych bloków. Tam, gdzie już doprowadzono wodę, bujnie się krzewi zieleń i rozkwita życie. Tam, gdzie nie ma wody, jest jeszcze martwa, jałowa pustynia.

Gdzieś między Kairem a 101-kilometrem, gdzie w-

idać jeszcze wyraźnie ślady po namiotach, w których toczyły się z udziałem mediatorów ONZ negocjacje wojskowych dowódców Egiptu i Izraela, stoją przy drodze wysokie krany podobne do tych, którymi u nas tankuje się wodę do lokomotyw. Tylko znacznie mniejsze. Woda płynie tu rurociągiem z Kairu. Stoją pod nimi długie kolumny ciężarówek cierpliwie czekając godzinami na swoją kolej. By po zatkanowaniu ruszyć z wodą w pustynię do żołnierzy 3 armii.

SENEGALCZYCY NIE BIORĄ STAD WODY

Po pierwsze nie jest dla nich przeznaczona, po drugie zaś — ze względów sanitarno-higienicznych. Jeśli mają w pełni bezpieczną wodę, to jest to wyłącznie i całkowicie zasługa Polaków. Jesteśmy oto na stacji uzdatniania wody, zorganizowanej w obozie Shamps w Heliopolis, która

• Dokończenie na str. 5



22 BM. 104 ROCZNICA URODZIN LENINA.

ROZOWE I CZARNE

W SZYSCY znamy z dzieciństwa lat zabawę w poszukiwanie ukrytego przedmiotu. Jest to zabawa, w której się mówi: „ciepło, ciepło, coraz cieplej...”

Do mojej zabawy, dla do rosyjskich, zakładam czarne okulary i mówię: „czarno, czarno, coraz czarniej...” Okrutna zabawa, chociaż bez czarnych okularów bardzo zabawnie wygląda, jak to się mówi: „można być z śmiechu”. Zaczę od anegdoty, którą niedawno usłyszałam:

Na uroczystym balu, w sali tak wielkiej i eleganckiej, że aż posiadającej własną fontannę ze sztuczną sadzawką, pojawił się (zaproszony) pewien znany ogólnie i uwielbiany komik. Był oczywiście cały w wytwornej czerni, tylko kosałka biała się jak, z prze prośbą, zdrowy zab. Już na sam jego widok wszyscy natychmiast pękali ze śmiechu. Na tym balu jednak komik przeszedł samego siebie, mając w

organizmie z pewnością więcej niż tylko sto gramów alkoholu, zobaczywszy szemrać wodotrysk, zbliżył się do niego i tu fantazja podsunęła mu myśl, aby umoczyć czubek laski w wodzie. Wszyscy pękali ze śmiechu, kiedy komik zadowolony, stwierdził: „ciepło”. Potem już nie czubek, ale cały laski znalazł się w wodzie, za nim wkraczał następny i wreszcie sztuczna sadzawka poczuła się zaszczycona obecnością najśmieszniejszego komika, który już pluskał się w wodzie, niczym złota rybka.

„Co za fantazja! Co za dowcip!” Wykrzykiwało z początku. Kiedy jednak komik zartował tak sobie już z dobrą godziną, ktoś bez poczucia humoru, poprosił go o opuszczenie miejsca kąpiel. Komik bardzo dobrze czuł się w sadzawce i nie opuścił miejsca. Poniżej ten numer programu nie był przewidziany i trochę zaczął psuć zabawę, zwrócił się do odpowiednich władz z prośbą o interwencję. Milicjant, ze służbowym paskiem pod broda i służbową miną zażądał zaprzestania kąpieli. Na co ten szalenie śmieszny komik zarzucił:

— Pan nie ma do mnie żadnego prawa, bo pan nie jest — milicją wodnej! Śmiałyśmy się długo, stu

chojąc tej opowieści. Śmiałyśmy się, że „taka fantazja jest jeszcze w naszym narodzie!”

Podobnych anegdot, gdzie nasz naród wykazuje wspólną fantazję jest bardzo dużo. Tak dużo, że nie należy ich opowiadać, bo może ktoś „zaśmiałyby” się na śmierć. A szkoda każdego człowieka. W każdym z nas drzemie Polak z fantazją. Tylko, Kochani Moi Rodacy! Czy nie można by tej fantazji inaczej wykorzystać...? Powiedzmy, przychodzi Polak do pracy i z ogromną, naszą narodową fantazją, zaczyna kombinować, co by tu zrobić le niej, szybciej, inaczej, a tak, żeby było naprawdę dobrze...?

Zakładam moje czarne okulary i widzę: „czarno, czarno, coraz czarniej...” Zabawa skończona. Znalazłam! — Przecież takiego Polaka wielu uznałoby za ośla! I co to za fantazja? Z czego tu się śmiać...? Co innego, kiedy ktoś udaje złotą rybkę w sadzawce. Z tego naprawdę można „pęć” ze śmiechu...! Przepraszam, że nie skończyłem felietonu, ale od śmiechu zatkanymi mi się moje czarne okulary.

Lucyna Legut

Tropienie demonów

JAKŻE często epitet będący nazwą jakiegoś demona starcza za argumentację. A niech to diabli porwą... Tymczasem diabli nie porywają niczego i nikogo, chyba że człowiek coś porwie, rozbije, wtępi do piekła. A jednak ktoś bardzo serio potraktował demony, wypuścił się w Polskę z wielkim workiem, by ich jak najwięcej nalapać. Nie wierzyć? Proszę posłuchać: „chciałbym rozpoznać, przyspilić i wrzucić do mieszka owe diabły, diabliki i potężne demony, które hałasują wśród nas i w państwie, mamia, wodzą na pokuszenie i trują nam życie nie tylko w mrokach, jak by przystało, ale i w blasku dnia beczelnie i hałaśliwie”.

Po takim „expose”, które mógł złożyć tylko wytrawny egzorcysta, weszliśmy nie lada gratkę. Oczekujemy, że z przepastnego worka lada moment wyskoczą reprezentanci czarnego majestatu — Belial, Markot, Farel, którego czarnoksiężnicy używają w posługach, Sebul albo inny jakowyś wysłannik księcia piekielnego. Tymczasem nic z tych rzeczy, pardon: nic z wymienionych tu czarcich potęg. W worku pełno spraw i sprawek czysto ludzkich. Nic dziwnego, wszak to nie egzorcysta chodzi i wypatruje demonów, lecz zawołany reportażysta z Krakowa — Jerzy Lovell. Pion swych wędrówek zawarł w tomiku reportażu pt. „Demony nasze powszednie”. Czyli nasze codzienne utrapienia. Zaraz też jawi się nam Lovell nie jako demonolog, lecz jako ekspert od zagadnień ludzkich, traktujemy więc jego książkę jako „raport o stanie dusz”.

Gdańskiego czytelnika zainteresują nie tyle demony sklepów, zdrowia, seksu czy rzek i pól, co demoniczne siły zdrowo buszujące w pracy. Dlaczego nie demony seksu? Czy dlatego, że jesteśmy zwolennikami postawy ascetycznej? Nic podobnego. Tym razem uwaga skupia się na rodziale, poświęconym demonom pracy, ponieważ autor ze „szpilcelem pióra w dłoni” zawitał m. in. do Gdańska.

Przyjechał tu pewnego pięknego dnia, waleś się po mieście, które jeszcze nie miało kamiennej „podłogi” na ul. Długiej i czterech dorodnych drzewek przed kinem „Leningrad”. Główny cel — to odwiedzić Stocznice Gdańskie. Nie: główny cel wizyty sprowadza się do zbadania stanu dyscypliny zawodowej, dyscypliny pracy. Pytanie zatrącające o truizm, ale przecież nadal aktualne: jak pracować, aby nie marnować czasu i energii? Żadna kabała na to pytanie nie odpowie, bo tu nie trzeba sięgać do gwiazd, lecz do myśli i... niemitych życia drobniaków. Nieką one z oczu, gdy adaptujemy się intensywnie do wzorców życia starszozłacheckiego. Co się wtedy dzieje? „Ponosila go — jak pisze Lovell — pańska fantazja, wyczyniał rzeczy nieprawdopodobne, balaganiał, pil. Dzisiejszych faworytów jutro zwalniał w pył, a potem wynosił na piedestał jakieś zupełnie miernoty...”. Godzi się napomknąć, że ta niezbyt pochlebna cenzura owsem dotyczy szefa, lecz zamieszkującego daleko poza gdańskim województwem. (Prawda też jest to, że i naszych dyrektorów, kierowników ponosi fantazja).

Kwestia niezmiennie istotna streszcza się w kolejnym pytaniu: jak w nowoczesnym świecie rządzić się w pełni nowoczesnie? Pierwszym warunkiem tej nowoczesności jest wyposzczenie starych demonów wiejsko-chłopskiej prowincji. Przede wszystkim pewnej niesubordynacji, czy kłębności, łapczywości na grosz, lekceważenia kultury pracy itd.

Wynika to wszystko również stąd, że „społeczność ludzi pracy w Polsce jest ogromnie młoda”. Spora grupa pracowników zatrudnionych w miastach wywodzi się ze wsi. „Powoduje to pewien ujemny skutek: brak lub niestalość tradycji zawodowo-społecznych oraz jednolitej opinii działającej normotwórczo i piętnującej odstępstwa od tych norm”.

W stoczni, którą odwiedził Lovell wykształca się poczucie stabilności, nienaruszalnego ładu. Świadczy o tym choćby fakt, że ludzie „występują z własnymi inicjatywami, jak na przykład na wydziale kadłubowni... gdzie młodzi samorzutnie zorganizowali drugą zmianę, zgłaszając rozmaite usprawnienia, racjonalizacje”.

Czy dlatego tak dobrze pracują, ponieważ wchłoneli w siebie i przyswoili bakcyle nowoczesnej cywilizacji (wiedza, zdyscyplinowanie)? A może w stoczniowy system dyscypliny „wmontowano” takie mechanizmy, które sprawiają, że pracownik jest niejako pilnowany przez samą robotę?

Wydało się, że w Gdańsku dokonano niezwykle prawidłowej i potrzebnej z punktu widzenia psychologicznego operacji. Owa operacja polega na wydobyciu i spożytkowaniu chłopskich cech pozytywnych wysoko przydatnych we współczesnej cywilizacji. Na pewno można zbudować coś wartościowego rozwijając takie cechy jak np. zmyślność, rzemioslnicza cierpliwość, rzetelność, umiłowanie konkretnego...

Tylko tak dalej, a zamiast o demonach będzie się mówiło wyłącznie o tytanach pracy.

STANISŁAW PESTKA

Morski program Polskiego Radia

W najbliższy poniedziałek, tj. 22 bm., Rozgłośnia Gdańska Polskiego Radia przedstawi na antenie ogólnopolskiej cykl interesujących audycji związanych z morzem i Wybrzeżem.

O godzinie 7.35 w programie II usłyszymy reportaż z Portu Północnego „Dziś i jutro wielkiej budowy”.

O godzinie 10.40 w programie I będzie nadana audycja o ludziach i sprawach Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, a o godzinie 11.15 w tym samym programie usłyszymy będzie można reportaż o rybakach dalekomorskich.

Wśród innych audycji publicystycznych na uwagę zasługują pozycje o bazie kontenerowej, szkolnictwie morskim i o perspektywach wypoczynku na morzu.

Audycje Rozgłośnia Gdańskiej przygotowane specjalnie w związku z „Panoramą 30-lecia”. Będą one nadawane na falach długich, średnich i ultra krótkich pod wspólnym hasłem „Morze żywi i bawi”.

Szczegóły dotyczące godzin nadawania poszczególnych audycji znaleźć można w najnowszym numerze „Radio i Telewizji” oraz w prasie codziennej.

(rh)

Urodzeni aby panować

P OD powyższym tytułem ukazał się w „Trybunie” z 21 grudnia 1973 r. artykuł Michała Meachera omawiający problem ekskluzywnych szkół prywatnych w Anglii. Autor, opierając się na danych dostarczonych przez Public Schools Commission, analizuje pochodzenie społeczne uczniów szkół prywatnych i ich wyniki naukowe, porównując je z danymi ze szkół podstawowych. Przedmiotem porównania są również szanse zatrudnienia absolwentów szkół prywatnych i absolwentów szkół państwowych.

Jednym z głównych zarzutów wysuwanych przez przeciwników ekskluzywnych szkół prywatnych jest ten, że faworyzują one dzieci pochodzące z najwyższych klas społeczeństwa angielskiego. O tym, czy oskarżenie to jest słuszne, można przekonać się na podstawie wyników badań Public Schools Commission, która zajmowała się analizą pochodzenia społecznego uczniów ekskluzywnych szkół prywatnych. Rezultaty swych dociekań ogłosiła w 1970 r.

WYKAZAŁY one, że na 20 uczniów tego typu szkół — 19 to dzieci przedstawicieli wolnych zawodów, pracodawców i kadry kierowniczej. A więc grupa ta, która stanowi zaledwie 18,6 proc. społeczeństwa angielskiego, zajmuje aż 94 proc. miejsc oferowanych przez te szkoły. W konsekwencji klasa średnia licząca 20 proc. społeczeństwa otrzymuje 5 proc. miejsc. Natomiast dzieci najliczniejszej, bo obejmującej aż 59,5 proc. grupy społeczeństwa angiel-

skiego — klasy robotniczej — są w tych szkołach reprezentowane tylko w 1 proc.

Gdyby miejsca w ekskluzywnych szkołach prywatnych były rozdzielane proporcjonalnie na wszystkie grupy społeczne, to klasa najwyższa powinna ich otrzymać 18,6 proc. W rzeczywistości otrzymuje ich aż pięciokrotnie więcej.

• Dokończenie na str. 6



Kwietniowy upał.

Fot. Paweł Kanicki



Samotnia.

Fot. Paweł Kanicki

Zabawki dla dzieci i... dorosłych

W E Francji zorganizowano ostatnio międzynarodową wystawę zabawek, trzynastą już z rzędu. Ekspozycja ta stała się okazją do zaprezentowania w kilku francuskich pismach sytuacji na rynku zabawek w krajach Zachodu.

Popyt na zabawki zwiększa się w ostatnich latach szybko; np. w Wielkiej Brytanii wydaje się obecnie na ten cel 16 funtów w przeliczeniu na dziecko, podczas gdy w roku 1965 wydawano 7,5 funta, a w roku 1950 — 5,5 funta. W większości krajów Zachodu roczny wzrost sprzedaży zabawek wynosi, wartościowo biorąc, około 10 proc. Coraz większe powodzenie mają przy tym zabawki mechaniczne, a zwłaszcza elektryczne kolejkami oraz samochodami i inne pojazdy o napędzie elektrycznym. Zwiększa się także udział gier i różnego typu lamiłówek przeznaczonych nie tyle dla dzieci, co dla ich rodziców. Największe powodzenie mają one w NRF i w Stanach Zjednoczonych, zapewniając ciążłość sprzedaży zabawek także poza okresami tradycyjnych, przedświątecznych zakupów.

Tradycyjnymi eksportami zabawek były w minionych latach Japonia i Francja; obecnie na światowych rynkach nastąpiły w tym względzie znaczne zmiany. Japonia stała się jednym z największych importerów — sprowadza obecnie z zagranicy zabawki za łączną kwotę 264 mln dolarów rocznie (wobec 76 mln dolarów w roku 1970). Natomiast Francja, z eksportem stanowiącym 15 proc. produkcji zabawek, dała się wyprzedzić przez NRF (30 proc. produkcji sprzedawane za granicę). Wielką Brytanię (odpowiednio — 25 proc.) a przede wszystkim — Włochy. Włosi sprzedają również zagranicą zabawki za 65 mld lirów, co stanowi aż 43 proc. całej produkcji.

Fot.: CAF-Rybczyński

